

Dwunasty już raz mamy okazję, przyjemność, i niewątpliwie zaszczyt, gościć w naszym mieście ANIMO — festiwal teatralny, od ośmiu lat międzynarodowy. W tym roku hasłem festiwalu jest: „nie mów głośno o kulturze na prowincji.pl”. W przewrotny sposób sens tych słów oddali Jądzia i Łukasz, którzy otwarli festiwal — oboje z prowincji: jedno z kwidzyńskiej, a drugie z chińskiej (Shandong).

POCIĄG DO KULTURY

Marek Sitnicki

Spektakl inauguracyjny festiwalu „Proszę wsiadać, drzwi zamykać” Toma Gredera tak naprawdę rozpoczął się jeszcze przed oficjalnym otwarciem. Aktor w mundurze szwajcarskiego konduktora (takie skojarzenie podsunął mi przynajmniej jego donośny głos w dialekcie Schwyz Deutsch) witał i zapraszał wszystkich na pokład, jak brzmiał w oryginale tytuł, czyli do zajęcia miejsc w pociągu. Jako że wniosłem ze sobą mały plecacek, zostałem szczególnie potraktowany przez Toma, który ze słowami „Security, security!” sprawdzał wykrywaczem ewentualną zawartość wnoszonych przeze mnie niebezpiecznych przedmiotów. Tak oto rozpoczęła się interaktywna gra z widzem.

To, co zaprezentowano nam tego wieczoru, było bez cienia przesady dziełem sztuki aktorskiej. Kiedy bohater pojawia się na scenie już bez munduru konduktora, za to w orientalnym fezie na głowie, z walizką i pudłem, jako pasażer ociekający na pociąg, wyruszyliśmy z nim w niesamowitą podróż.

Kolejna odsłona, to wnętrze jadącego pociągu: scena z kwiatkiem wyjmowanym, a następnie wkładanym do wazonika, oraz próba podparcia dłonią policzka w rozkołysanym wagonie! Gdy pociąg zatrzymuje się, nasz pasażer buduje tor, po którym puszcza w ruch lokomotywę. Tak rozpoczyna swoją podróż do matki, która umiera przed przyjazdem pociągu. Na tym przedstawienie jak gdyby się kończy: oklaskiwany bohater zaprasza na scenę osoby z widowni, rozdaje im po kawałku toru. Wtedy jednak zaczyna się epizod, niesamowicie zabawny i angażujący całą publiczność.

Gdybym miał określić krótko ten spektakl, użyłbym raz tylko wypowiedzianego przez Toma słowa, gdy zachęcał widzów do zabawy: „Interaktiv!”. To było i jest (takie przedstawienia trwają wciąż pomimo upływu czasu) prawdziwie ANIMUJĄCE gości festiwalu.

WZIĘLIŚMY NA WARSZTAT...

Samoróbka to warsztatowy projekt zespołu Małe Instrumenty, prowadzonego przez Pawła Romańczuka. Zespół eksperymentuje ze źródłami dźwięku, zawężając instrumentarium do instrumentów dziecięcych, miniaturowych, wydawałoby się, że nie znajdujących zastosowania w „poważnym” graniu muzyki – jednak jego wydawnictwa płytowe w błyskotliwy sposób obnażają ułomność takiego myślenia. Podobny cel mają odbywające się na ANIMO warsztaty – począwszy od wyszukiwania na złomowisku obiektów wydających dźwięk, przez konstrukcję instrumentów własnego pomysłu z przypadkowych przedmiotów, aż po otwarty pokaz. Samoróbka dąży do wyrobienia u uczestników otwartości w myśleniu o muzyce, braku zahamowań i radości z grania. Dlatego warsztat ten okazuje się świetną propozycją dla ludzi w każdym wieku i na różnych poziomach doświadczenia muzycznego.

Przedmiot w salach muzealnych może być różnie postrzegany. Najczęściej jest kojarzony z eksponatem w szklanej gablocie, który pozostaje poza zasięgiem naszych zmysłów. Wszystko to można jednak bardzo szybko zmienić. Wystarczy tylko salę na zamku zamienić w przestrzeń warsztatową, aby przyniesione tam przedmioty ożyły i stały się towarzyszami naszych opowieści. Tak było m. in. dzisiaj na pierwszych warsztatach z teatru przedmiotu prowadzonych przez Elżbietę Jeznach. Po rozgrzewce zwykły papier pakowy stał się w rękach uczestników zajęć nie tylko gładką formą ptakiem, ciepłym szalikiem czy miękką poduszką, ale także wieloma innymi ożywionymi formami. Jutro ciąg dalszy pracy nad budowaniem dialogu pomiędzy człowiekiem a animowaną materią.



MOŻESZ BYĆ KIM CHCESZ

Z Bence Sarkadi
rozmawiała Anna Sieroń



Znam już trochę twoją historię. Tańczyłeś, a zostałeś lalkarzem...

Wiedziałem. Wszyscy zawsze pytają o to samo. (Śmiech). Nigdy nie chciałem na poważnie tańczyć, brać udziału w konkursach, turniejach. Po prostu – lubię tańiec. Nigdy nie chciałem też być aktorem, nie zdawałem do szkoły, nie chciałem grać w teatrze. Może dlatego mnie drażni, gdy na wydziałach lalkarskich lądują ludzie, którzy nie dostali się na wydziały aktorstwa dramatycznego. Lalka nie powinna być drugim wyborem. Powinna być twoją świadomą decyzją. Tym, co zawsze chciałeś robić.

I ty zawsze chciałeś pracować z lalką?

Najpierw studiowałem język i literaturę angielską. Po roku jednak zrozumiałem, że nie chcę uczyć języka w szkole, że mnie to nudzi. I teraz nastąpi zwrot dramatyczny – znalazłem się przypadkiem na spektaklu marionetkowym czechosłowackiej grupy teatralnej. Zauroczył mnie. Zacząłem budować swoje lalki. Prymitywne, bo przecież nie wiedziałem jak działają, jak są zbudowane. Okazały się moją miłością od pierwszego wejrzenia, magią, która mnie zaczarowała. Pomyślałem, że chciałbym spróbować. Dowiedziałem się, że będzie nabór do szkoły lalkarskiej w Budapeszcie. Poszedłem. Zdałem. Przyjęli mnie. No i jestem.

Poniekąd zostałeś jednak nauczycielem.

Ale ja kocham uczyć. Od czternastego roku życia uczyłem innych. Najpierw angielskiego, potem literatury czy też innych przydatnych akademickich przedmiotów. Zresztą z chwilą rozpoczęcia szkoły lalkarskiej nie porzuciłem uniwersytetu. Właśnie kończę pisać doktorat na temat Szekspira w lalkach. Można mnie spotkać na warsztatach – jak my się spotykamy – albo na kursach w Budapeszcie, bo ja uwielbiam uczyć. I sam się wciąż uczę. Mam nawet sekretną metodę (śmiech). Dużo podróżuję. Jeżeli czegoś nie wiem – pytam, tych, którzy wiedzą. Rozmawiam, zadaję pytania, po prostu spędzam czas z ludźmi. Taka metoda pracy daje dużo wolności, a tą cenę najbardziej. Nie lubię, kiedy inni mówią mi co i jak mam robić. Uczę się na błędach, a do rozwiązań dochodząc sam.

A dlaczego warto przyjść właśnie na twój spektakl?

Bo teatr to rozmowa. Gdy zaczynam budować na scenie świat – nic nie jest już moje. Oddaję go widowni. Od niej zależy o czym tak naprawdę będzie spektakl. Jak odczyta moje mikro historie czy zrozumie moje poczucie humoru, moją poezję wizualną. Przyjdź do mnie jutro po spektaklu, to dowiem się, dlaczego warto było poświęcić mi swój czas.

NIE PRZEGAP

■ W ramach Festiwalu odbywają się projekcje filmów animowanych. Dzisiaj mamy propozycję dla najmłodszych. Od 11.00 do 12.00 w KCK będzie można zobaczyć m. in. przygody psa kosmita w filmie Grzegorza Koncewicza czy historię „Zielonej Kredki” Janka Stelizuka. Prezentację dopełnią opowieści o gadających samolotach („Odlatowo”) oraz o inwazji kosmitów („Grzyby burzy”). Wrażeń na pewno nie zabraknie – nie tylko dla dzieci. Wymienić się doświadczeniami i spędzić 5 niezapomnianych dni w towarzystwie sztuki.

■ Jutro także spektakl Teatru Squat Form „Kordian. Reinterpetacje”. Godzina 19.30, Kino Teatr. Zapraszamy!



MIĘDZY RE- A INTERPRETACJĄ tekst Adam Karol Drozdowski

Jakoś tak się w polskim teatrze dzieje, odkąd napłynęły do nas szlachetne idee, zamknięte przez Hansa-Thiesa Lehmana w słowie postdramat, że nie umiemy przestać się śmiać.

Twórcy polskiego teatru wzięli już więc na warsztat prawie całą klasykę, tak krajową, jak i zagraniczną, by wreszcie zająć się też tekstami popkultury — i zaczęli dekonstruować, aż się kurzyło. Michał Zadara wyśmiał Mikołaja Reja, Jan Klata Sienkiewiczowską Trylogię, Dziady ekshumowano, Wujaszek Wania okazał się ofiarą transformacji ustrojowej, drapieżnym szponom dramaturgów nie umknęli też Czwerej Pancerni i rycerze Jedi. Długo by wymieniać autorów i tytuły dzieł poddanych najróżniejszym re: reinterpretacji, rekonstrukcji, rekontekstualizacji, wszystkim tym otwierającym kreatywne czytanie czynnościom, na jakie pozwala epoka post. Teatr Squad Form, młody zespół, zrzeszający absolwentów i studentów białostockiej Akademii Teatralnej, postanowił rozprawić się w ten sposób z Kordianem Juliusza Słowackiego.

Żeby było jasne: nie mam absolutnie nic przeciwko współczesnej myśli teatralnej, postdramatyczne opracowanie tekstu może być kluczem do naprawdę zaskakujących odczytań, estetyka kampu użyta jako poparcie precyzyjnej konstrukcji intelektualnej potrafi błyskotliwie otwierać nowe przestrzenie znaczeniowe. Mierzi mnie tylko, kiedy cała ta współczesna otoczka używana jest nie jako klucz, ale jako wytrych. Tak niestety stało się w Kordianie. Reinterpretacji. Zgodnie z założeniami autorów, nacisk w inscenizacji miał być przesunięty z Kordiana — niedoszłego, ale jednak Bohatera, na Kordiana — ofiarę własnych decyzji, do których nie dorósł. Jak zwykle u ludzi z przerostem ambicji, jego dążenie do wypełnienia Misji trafiało rykoszetem w najbliższe otoczenie. Dlatego w spektaklu jak wyrzut sumienia wracają do niego trzy skrzywdzone kobiety, potworniejące niczym koszmar senny, dwugłowe, upiorne. Kordian, przytłoczony własną nieudacnością, ucieka w końcu, kwiląc zapętlony w obłędzie genezyjski monolog.

Brzmi interesująco? I takim bez wątpienia byłoby, gdyby nie chwiejność konstrukcji intelektualnej przedstawienia. Świat Kordiana nie buduje się jednoznacznie, główny bohater jest nieoznaczoną figurą, podniesioną do działania przez zakorzenione w cyrkowo-Lynchowskiej konwencji karły, które, wraz z mistrzynią ceremonii, przeprowadzają go przez kolejne, achronologicznie poustawiane epizody. Przez taką konstrukcję frapująca opowieść o współczesnym, ciemnym, ciemnym świecie, kryjącym się pod kruchą maską bojownika Idei, rozmija się z konsekwentnie poprowadzoną, ale przesadnie rozbuchaną estetyką. Szkoda. Kordian-hipster? Na taką realizację będziemy musieli jeszcze poczekać.

WZIĘLIŚMY NA WARSZTAT...

ANIMO to również warsztaty teatralne. Jeden z nich, prowadzony przez Toma Gredera — bohatera wczorajszego wieczoru na zamku („Proszę wsiadać, drzwi zamykać”) — dotyczy śmiechu, zjawiska istotnego nie tylko w świecie teatru, co sugeruje nazwa warsztatów, ale także dla każdego z nas. Tom Greder, chociaż osobiście związany ze Szwajcarią, Australią i Polską, jest faktycznie obywatelem świata prowadząc od 27 lat regularne zajęcia z kreatywności i komunikacji. Dziś w sali baletowej kwidzyńskiego teatru zaprezentował pierwsze z czterech spotkań, którego ekscytująca i inspirująca atmosfera sprawiła, że nie poczuło się upływu trzech godzin zajęć.

Motywy przewodnim tych zajęć były wzajemne relacje pomiędzy Artystą, Osobą i Charakterem, czyli m.in. opozycją, która funkcjonuje przykładowo w każdym z nas pomiędzy kontrolującą Osobą a dążącym do chaosu Charakterem. Nie sposób wyłożyć tu w paru słowach tego, co zaszerwował nam Tom z teorii komedii. Spragnionych (w tym samego siebie) odsyłam do trzech (znów magiczna trójka) pierwszych rozdziałów „The Act of Creation” Arthura Koestlera.

Pusto. Cicho. Rzędy drewnianych marionetek czekają na odrobinę życia. Każdy, kto przekracza próg sali na zamku, najpierw zbliża się do lalek. Tak, jakby chciał je lepiej poznać i zaprzyjaźnić się z nimi. I słusznie. W końcu przez pięć warsztatowych dni stają się one stopniowo przedłużeniem ręki i ciała aktora, myśli i wyobraźni lalkarza, aby w końcu całkowicie poddać się jego woli. Nim jednak marionetki na to pozwolą trzeba nauczyć się wielu rzeczy: gdzie jest waga marionetki; która nić jest najważniejsza; jak nogę lalki wprowadzić w ruch — i przede wszystkim — gdzie w marionetce zaczyna się życie. Bence Sarkadi nie tylko cierpliwie to wszystko tłumaczy, ale i odpowiada na każde, nawet najdziwniejsze pytanie, by jak najlepiej przybliżyć nam tajniki sztuki animacji. Zapewne dlatego po trzech godzinach większość lalek ożywa, wychodzi na scenę i tworzy świat, w którym but animatora może stać się zarówno pociągami jak i samolotem, a papier toaletowy żółtą drogą prowadzącą do Krainy Oz.



CZARY MISTRZA

tekst Anna Sieroń

Na jeden wieczór salą w muzeum zamkowym zawładnął budapesztański Teatr Marionetek Bence Sarkadiego. W doskonale skomponowanym kolażu krótkich etiud pokazano kunszt animacji lalką niciową. Sprawne dłonie lalkarza stworzyły prawdziwą magię.



Już na początku rozległy entuzjastyczne okrzyki i achy, gdy na scenie pojawił się Mistrz. Bardzo elegancki Mistrz. W wypastowanych butach, idealnie odprasowanych spodniach. W klasycznym kapeluszu. W sumie to bardzo przydatny rekwizyt — można zebrać doń datki lub wyciągnąć z niego królika lub marionetkę. Małą, małą lalkę, mieszczącą się w dłoni. Ale nie rozmiar czyni przecież z formy człowieka, który okazał się przy tym nad wyraz towarzyski. Chciał się zaprzyjaźnić z dużymi i małymi, wesołymi i smutnymi, łysiejącymi też, ale to wymaga dodatkowej ekwilibrystyki,

bezpieczniej więc schować się z powrotem w dłoni Mistrza.

A Mistrz przemówił. Obiecał dobrą zabawę. Uliczny teatr. Cyrkowe szaleństwo. Perfekcyjną iluzję. I oto przed zachwyconą widownią wystąpił akrobata na trapezie. Zwinny i lekki. Balansujący na granicy ryzyka. Chwył jedną ręką, zwis na jednej nodze. Na szczęście asekurowały go napięte nici i sprawna ręka Mistrza. Występ zakończył spektakularny podniebny piruet, który zdecydowanie zasłużył na gromkie brawa.

Podobnie jak międzynarodowa gwiazda piosenki wszelakiej — rozpoznawalny na całym świecie sułtan popularnych brzmień, który doskonale odnajdywał się zarówno w kozackich rytmach, jak i przeboju Tarkana; który opanował taniec brzucha, ale i podstawy breakdance. Mieliśmy szczęście, że nie odmówił zaproszeniu Mistrza. Chwila wyciszenia. W ogrodzie usiadł stary Hamlet. Wokół niego krążył żądny władzy Klaudiusz, czekający na dogodny moment, by otruć króla. Czary Mistrza sprawiły, że oto na scenie widać się wąż. Podły, podstępny, jadowity. Bez trudu zyskał koronę, królestwo i Gertrudę za żonę. A Mistrz dopowiadał. Mówił, że Szekspir w lalkach to jego mała fikcja. Marzenie, za którym podążał.

Szalony naukowiec chciał wyprodukować sobie żonę. Doskonała byłaby Marilyn Monroe. Metodą prób i błędów w końcu udało mu się stworzyć ideał. Wystarczyła jednak chwila nieuwagi i bóstwo zamieniło się w babsztyla. Z rozwianym włosiem, walkiem w rękę, połataną sukienicę. Dzięki Mistrzowi dowiedzieliśmy się, że oto zobaczyliśmy wariację na temat starszego pana Sarkadiego — członka węgierskiej akademii nauk, genialnego genetyka, dobrego ojca. Mistrz nie zapomniał również o sobie. W autotematycznej mikrohistorii pokazał trudy fachu ulicznego aktora. Bence z piersiówką i kotem, a właściwie marionetką w worku, w pocie czoła starała się zarobić jak najwięcej euro. I choć żal nam było lalkarza, nie sposób było oderwać wzroku od Mistrza, który animował marionetkę trzymaną przez swoje lalkowe alter ego.

To naprawdę była magia. Ochom i achom nie było końca. Aż skończył się teatr i Mistrz wyszedł do ostatnich ukłonów. Czar prysł.



NIE PRZEGAP

■ Zapraszamy na kolejne spotkanie z filmem animowanym. Tym razem mamy propozycję także dla dorosłej publiczności. Złożą się na nią obrazy, które zyskały uznanie jury najważniejszego z polskich festiwali animacji, poznańskiego Animatora. Już o 11.00 w KCK będzie można zobaczyć nie tylko niezwykle subtelny film o macierzyństwie Anity Kwiatowskiej-Nagvi „Ab ovo”, ale także opowieść Diane Oborsawin inspirowaną historią Kaspera Hausera i narracją Zbigniewa Czapli opowiadającą o chłopcu, który w wyniku niezrozumiałych zdarzeń pewnego dnia zgubił drogę do domu. Całość II spotkania z filmem animowanym dopełnią jeszcze trzy inne prace twórców z Kanady, Rosji i Wielkiej Brytanii, których obrazy otrzymały nagrody specjalne.



■ Przypominamy, że w ramach nurtu generacji o 18.00 w Kino — Teatrze GRUPA COINCIDENTIA zagra spektakl „Słoń i kwiat” — opowieść o najmniejszym z największych ssaków, który bardzo chciał się dowiedzieć, jak może urosnąć.

■ Kolejny dzień Festiwalu ANIMO zakończy przedstawienie „Iwona, Księżniczka Burgunda” w wykonaniu RSIA „PEŁNA KULTURA”, które odbędzie się o godz. 19.30 w Muzeum Zamkowym. Serdecznie zapraszamy!

OPOWIEŚCI Z KOŃCA ŚWIATA

Tekst Anna Sieroń

Kiedyś dżunglę spowijała ciemność. Ciemnością był cały świat. Nie było świecących ciał niebieskich, a wszystkie stworzenia kryły się w mroku. Wtedy do dżungli przyszedł człowiek z workiem pełnym skarbów. Chciał je rozdawać tym, którzy nie byli ciekawi swojej tożsamości. Jakże było jednak jego zdziwienie, gdy żadna z miljonych istot nie chciała drogiego świeci-delka – wolała poznać swoje imię. Każda bryłka ciemności w nagrodę otrzymywała od człowieka jedyne w swoim rodzaju plimkiplumki. Odtąd dżungla powoli zaczęła jarzyć się światłem, nabierać kształtów i kolorów. Na samym końcu człowiek zbliżył się do rzeki, która ze wszystkich sił szumiała w wysokich i gęstych trawach bojąc się, że zostanie pominięta. Jej dał ostatnią cząstkę jasności. Wtedy rzeka stała się matką wszystkiego, tak jak matką może być życiodajna woda. Najstarsi mieszkańcy dżungli powiadają, że człowiek nie miał worka, że nigdy nie było żadnych skarbów, a to co rozdawał światu, to tak naprawdę były cząstki jego samego.

Białostocki Teatr Lalek w koprodukcji z Grupą Coincidentia w mit o prapoczątkach wplótł historię najmniejszego na świecie słonia, który niczym biblijny Mojżesz pojawił się w dżungli, która była prawie puszcza, która była prawie lasem, który był prawie ogrodem. Słoń jednak nie wiedział skąd się wziął. Wiedział tylko, że chce być największym słoniem, i że musi zrobić wszystko, aby urosnąć. Wydawałoby się, że to nic prostszego w świecie, w którym hieny opowiadają klepskie dowcipy, kwiaty potrafią chodzić, małpy czarują słońce, świni nie rozróżniają kolorów, a dżdżownice fascynują się teatrem. Bardzo dobrym teatrem. Takim z ducha i tekstu Słowackiego. Nic jednak bardziej mylnego. Wyprawa na kraniec tęczy jest trudniejsza niż mogłoby się wydawać. Nie tylko trzeba opuścić bezpieczny i znany świat, trzeba również napęcznić i napuchnąć z dumy, wykonać szereg zadań, które przed małym słoniem, jawią się niczym dwanaście prac Herkulesa. A potem porzucić przyjaciół i stać się bardzo samolubnym zwierzęciem. Jednak, jak zdaje się mówić spektakl, do odważnych świat należy, a prawdę o sobie należy poznać nawet za wszelką cenę.

Wprowadzani na scenę bohaterowie zdawali się powoli zaludniać czarodziejską dżunglę. Papierowe zwierzęta ożywały na chwilę w sprawnych dłoniach animatorów, by po chwili zostać porzuconymi. Opowieść o puszczy narastała i kłębiła się przed oczyma widza. Luźne wątki zdawała się łączyć jedynie konwencja apokryficznej opowieści o początku stworzenia. Umowność świata przedstawionego dodatkowo podkreślili sami aktorzy, gdy w niemalże symboliczny sposób, obnażyli mechanizm teatru zrywając kolejno warstwy dekoracji, co w bardzo dosłowny sposób doprowadziło do rozpadu świata. Rodzi się zatem pytanie czy jest coś, co pomoże na nowo ułożyć rozsypane kawałki...

WZIĘLIŚMY NA WARSZTAT...

Czwartek był kolejnym dniem warsztatów teatru cieni prowadzonych przez Petronelę Dušová. Ten rodzaj teatru lalekowego o dalekowschodniej proveniencji tworzy magiczny świat, któremu nie jest w stanie się oprzeć żaden widz. Petronela mówi, że czar tego rodzaju animacji odczuwa się tylko na widowni, bo po drugiej stronie ekranu jest tylko ciężka praca. Warsztat pokazuje, na czym to polega. Są ćwiczenia gry ze światłem reflektora i świecy, z pojawianiem i znikaniem cieni aktorów i przedmiotów. Poza tym wszystkim uczestnicy zajęć ćwiczą także podstawowe ruchy i emisję głosu oraz sami wykonują potrzebne im do etud rekwizyty. Dzięki temu czary docierają także tutaj. Potwierdzają to sami uczestnicy warsztatów. Każdego dnia świetnie się bawią zbierając różnorodne doświadczenia. „Możliwość przebywania z Nełą to dla nas wielkie wyróżnienie. To bardzo twórcze warsztaty, z których możemy czerpać inspirację”, mówią niektórzy z nich. Już w najbliższą sobotę, w ostatnim dniu festiwalu, będziemy mogli obejrzeć, co powstało dzięki ich wyobraźni i magii teatru.



Chociaż piosenka Jerzego Stuhra „Śpiewać każdy może” powstała dawno temu, to trudno zaprzeczyć, że jej tekst wciąż pozostaje aktualny. Dzisiaj mogli się o tym przekonać uczestnicy warsztatów prowadzonych przez Bogdanę Szczepańskiego. Trzeci dzień spotkań grupy rozśpiewanych osób był tego dobrym przykładem. Kartki z nutami i słowami piosenek, które na pierwszy rzut oka wielu z nas przerażają, zwłaszcza jak nie jesteśmy z muzyką za pan brat, tu nikogo nie powstrzymały przed śpiewem i to wykonywanym solo! W końcu przecież nie to jest najważniejsze, aby skupiać swoją uwagę na różnych własnych wadach, tylko to, żeby odkrywać wszystko, co można polubić, a może wręcz pokochać. Przynajmniej tak śpiewanie piosenek teatralnych postrzega Bogdan i uczestnicy jego zajęć. A zatem nie pozostaje nam nic innego jak zaczerpnąć głęboki wdech i przyłączyć się do tych, którzy z muzyki czerpią radość, a śpiew traktują jako coś, co pozwala nam być po prostu sobą.

ZAMKI Z PIASKU

tekst Adam Karol Drozdowski

Jak wystawić Gombrowicza, żeby powiedzieć coś własnym głosem? Z takim wyzwaniem zmierzyło się RSIA „Pełna Kultura”.

Dramaty autora *Operetki* to sceniczne samograje, z tą tylko kłopotliwą cechą, że ich charakterystyczny, gęsty literacko styl swoją mocą przytłacza zazwyczaj rozwiązania inscenizacyjne. Dlatego do teatru idzie się raczej „na Gombrowicza” niż na świeżą reżyserską interpretację – kilku zaledwie artystom teatru udało się przelamać zaprogramowany przez Mistrza przymus powielania schematów. *Iwona, Księżniczka Burgunda*, na którą porwała się rzeszowska grupa, to trudny tekst. Jak zwykle u Gombrowicza niewyważony, pokretnie skonstruowany, zorientowany wokół prawie niemej postaci.

Rola Iwony to najmocniejszy punkt całego przedstawienia. Marta Bury, mimo że z jej ust pada kilka kwestii na krzyż, mimo że gros czasu pozostaje nieruchoma, kiedy zaś przemieszcza się, jej ruchy są pokraczne i bezwolne, ma w sobie rodzaj energetycznego napięcia, który każe nieustannie skupiać na niej uwagę. Reszta zespoko, uwijając się wokół niej, z lalkami czy bez, grając po kilka postaci, podgrywając również prywatne relacje między sobą, de facto stara się tylko dotrzymać jej kroku. To paradoks, który świadczy o mocnej zespołowości. Tytułowa bohaterka jest naraz smutna, melancholijna, tajemnicza, groźna, przerażająca – wszystkie emocje, projektowane na nią przez pozostałe osoby dramatu, znajdują jasne odbicie w procesie wewnętrznym aktorki. W finale jej siła podkreślona jest piękną etiudą ruchową, w której Bury, wykorzystując podstawy kontakt-improvizacji, tanecznymi ruchami dopasowuje się do kolejnych pozycji ciała partnera.

Podtytuł *Dziecięce zabawy na wolnym powietrzu* ustawia na samym wstępie kierunek myślenia autorów spektaklu. Faktycznie, dworskie rozgrywki, które w *Iwonie...* sprowadzają się rzecz jasna do Gombrowiczowskich obsesji – są niczym więcej, jak beztruskimi zabawami. Beztruskimi tak dalece, że nawet, gdy prowadzą do tragicznego końca, to też staje się tylko elementem konwencji. Autorzy przedstawienia znaleźli przełożenie tej interpretacji na prosty obraz sceniczny: czwórka aktorów rozgrywa między sobą tę historię w piaskownicy, animując nie tylko przygotowanymi specjalnie lalkami, ale i zwykłymi pluszowymi zabawkami. Podobno mi się ten pomysł – w przewrotny sposób Gombrowiczowska *Iwona...* okazuje się być rozwinięciem opowieści o relacjach międzyludzkich z *Piaskownicy* Michała Walczaka: intensywniejszym, głębszym, zamkniętym w ramach tragedii, ale wobec pewnych ogólnoludzkich diagnoz zaskakująco dopasowanym.

I tu zaczynają się schody, bo potencjał tego zabiegu nie został dostatecznie wyszyskany. Piaskownica jest tylko dekoracją, na tle której odgrywany jest znany wszystkim dramat. Efekt obcości, kiedy aktorzy porzucają swoich lalekowych bohaterów i rozwijają równoległą opowieść o prywatnych relacjach na placu zabaw jest ledwie zaznaczony w kilku momentach, jednak nie dość rozwinięty, by miało się wrażenie, że dworska narracja jest improwizowana na bieżąco jako metafora „rzeczywistych” związków (tu kłaniają się wystawienia Walczaka). Aktorstwo jest bardzo nierówne, różnice wyrażają się nawet nie tyle w prowadzeniu poszczególnych postaci, ale dają się zauważyć z etudy na etudę. Co jednak raz przede wszystkim, to brak skrótów w tekście dramatu. Sprawna adaptacja mogłaby unieść spektakl o kilka poziomów w górę. Niestety, kilka pięknych obrazów nie wystarcza, by udźwignąć przegadaną i ciężką strukturę całości.

A jednak szlachetna to robota i nie mogę pozbyć się wrażenia, że niewiele brakowało, by rzeszowskie przedstawienie mogło być jedną z ciekawszych znanych mi propozycji wystawienia *Iwony*. Czego przy kolejnych premierach sobie i Stowarzyszeniu życzę.



NIE PRZEGAP

■ Dziś ostatnia możliwość obejrzenia na ANIMO filmów animowanych! Nie dajcie się długo namawiać, bo nie prędko nadarzy się znów okazja zobaczenia obrazu, który jest doskonałym przykładem fabularyzowanego dokumentu. „Droga na drugą stronę lustra” Anki Damian to film, w który posługując się kolażem udało się stworzyć niezwykle interesująca opowieść o tolerancji. Jak rozwinięta historia pewnego 33-letniego mężczyzny, która została oparta na faktach, będzie można przekonać się już o 11.00 w KCK. Serdecznie zapraszamy na pokaz długiego metrażu (film trwa 72 min)!



■ Na przedostatni już festiwalowy wieczór zaplanowano niezwykle propozycje. Po spektaklu Lacapra Balletina Puppet Theatre z Włoch (godz. 18.00, Muzeum Zamkowe) czeka nas koncert „Samoróbka” w wykonaniu Małych Instrumentów, podczas którego będziemy mieli okazję usłyszeć bardzo nietypowe obiekty dźwiękowe zbudowane własnoręcznie przez muzyków.

■ Na koniec dnia będzie można też wziąć udział w kolejnym spotkaniu Dyskusyjnego Klubu Teatralnego (DKT). Tym razem rozmowa potoczy się wokół spektaklu „Był sobie Andrzej, Andrzej i Andrzej”. Zapraszamy.

KAMERTONY I DYNDALION, CZYLI SAMORÓBKA W KWIDZYNIE

Tekst Marek Sitnicki

Piątkowy koncert wrocławskiej grupy „Małe Instrumenty” był dla mnie wydarzeniem nie tylko muzycznym. Instrumenty zbudowane własnoręcznie, od których powstała nazwa realizowanego przez muzyków projektu *Samoróbka*, to eksperyment zgoła antropologiczny. Przedmioty wykorzystane do ich konstrukcji przywodzą na myśl początki muzyki, gdy ze spróchniałych pni drzew, kości zwierzęcych i ciężki łuku powstawały pierwsze instrumenty perkusyjne, dęte i szarpane. Pomysłowość i odwaga w zastosowaniu swoistego recyklingu drewna, metalu, szkła i plastiku musi wzbudzić jak przypuszczam nie tylko mój szczerzy podziw.

Koncert składał się z dwóch części. Część pierwsza dotyczyła projektu *Samoróbka* i została wykonana na instrumentach zbudowanych własnym sumptem w pracowni o tej samej nazwie. Instrumenty te zajmowały lewą połowę sceny. Z kolei po prawej stronie zgromadzony został bardziej standardowy zestaw instrumentów. To na nich zostały wykonane cztery utwory z albumów *Chemia i fizyka* oraz *Katarynka*. Pierwszy z nich, *Pučki* z płyty *Chemia i fizyka*, kawałek o charakterze walca, lider grupy, Paweł Romańczuk, opatrzył stwierdzeniem, iż przydałoby się wydać płytę *Znad modrej Odry*, jako że walc występuje często w twórczości „Małych Instrumentów”. Kolejna kompozycja, to *Patapaja* z albumu *Katarynka*. Całość domknęła *Mostacha* – utwór szczególnie choćby z uwagi na wykorzystanie niesamowitego syntezatora wybierającego różne stacje radiowe!

Siedząc na widowni próbowałem policzyć i nadać nazwy instrumentom na scenie. I tu doznałem podwójnej porażki. Bo jak policzyć instrumenty składające się faktycznie z kilku niezależnych? Jak nazwać struny napięte na rakięcie tenisowej, gitarę skonstruowaną z deski sedesowej czy ksylofon (?) z plastikowych butelek? Wszystko to przerosło moje możliwości. Dopiero po koncercie dowiedziałem się, że grupa korzysta z około 500 instrumentów, w tym ponad 50 samoróbek. Co do nazw, to podam dwie charakterystyczne: kamertony i dyndalion.

Jedynie, czego żałuję, to to, że nie udało się przywieźć na ANIMO wydania *Samoróbki* (płyta + książka) – z winy drukarni będzie osiągalna dopiero w połowie października. Na szczęście to już niedługo. Wystarczy chwilę poczekać.

WZIĘLIŚMY NA WARSZTAT...

Marina Lazariewa, która prowadziła podczas festiwalu ANIMO warsztaty animacji, uważa, że kukła to niemalże prastara forma lalki teatralnej. Na Białorusi ponoć każde dziecko posiada taką w domu. Pewnie dlatego na dzisiejszych zajęciach z tak dużą czułością Marina zaszywała materiał rozerwanej formy, która dzięki temu już po chwili była w pełni gotowa do wcielenia się w rolę zwiewnej baletnicy. Nim jednak dziewczuszki biorące udział w warsztacie uruchomiły kukłę, Masza zrobiła dla wszystkich rozgrzewkę, podczas której cierpliwie powtarzała, jak ważne jest rozpoczęcie działania na scenie od odpowiedniego przygotowania mięśni, nadgarstków i nóg do pracy. Nie można przecież zapomnieć, że profesja lalkarza to przede wszystkim

ciężkie fizyczne zadanie. Dlatego dopiero, gdy ciało zostało rozgrzane, nadeszła wreszcie właściwa chwila, by dopracować etudy, nad którymi pracowano już od wtorku. „Pamiętajcie, że każdy z was ma swój styl, inny charakter. Trzeba go oddać na scenie” – powtarzała Masza włączając motyw muzyczny z *Różowej Pantery*. Wszystko to obserwowałam czując coraz większy zachwyt, kiedy na moich oczach martwe do tej pory gąbczaste stwory ożywały i lekko zaczynały poruszać się w rytm muzyki. Wtedy zaczęłam żałować, że byłam tylko gościem na tym warsztacie. Teraz wiem na pewno, że już nie mogę doczekać się dzisiejszych pokazów.



„USNAĆ – USNAĆ! ŚNIĆ MOŻE?”

Tekst Anna Sieroń

Kiedy byłam małą dziewczynką, bardzo często miewałam koszmary. Główną rolę odgrywał w nich zawsze ciemny las, wielki wilk, zła czarownica. Podejrzewam, że moja bujna wyobraźnia otrzymywała doskonałą pożywkę w postaci baśni braci Grimm, czytanych mi przez rodziców do snu. Z biegiem czasu zmieniłam lektury do poduszki, więc zmieniły się i moje koszmary. Pojawiali się w nich nieznajomi z pociągu, puste wybrzeża Skanii, tajemnicze przedmioty, od których zależały losy świata. Wciąż jednak żałuję, że nie potrafię sprawić, by moje nocne mary były tak ładne, że aż nieprzerazające. Żeby były tak kolorowe i plastyczne, by można było zrobić z nich teatr albo film. Bardzo żałuję, że nie mogę się nimi podzielić z innymi. Na szczęście Teatr Lalkowy LaCapraBallerina nie miał tego problemu. Od pierwszej minuty spektaklu *Dorme* oniryczna muzyka Stefano Zazzero otuliła mnie dźwiękami niczym ciepłą pierzyną. Niespieszna animacja Laury Bartolomei przywodziła na myśl taniec w gęsim puchu. Tym samym zresztą, który wysypał się z poduszki, gdy bohaterka spektaklu wraz z rudym, przegowanym kotem układała się do wieczornego snu. Jak we śnie jedyną logiką kolejnych wyzaczarowywanych na scenie obrazów były skojarzenia, przepływające strumieniem świadomości myśli, odpryski racjonalnego życia. Dzięki temu wraz z bohaterką powoli zanurzyłam się w krainie marzeń sennych, by minuta po minucie, chwila po chwili, obraz po obrazie zbliżać się do pięknych wizji, ale i najgłębszych lęków dziewczynki. Podobnie jak ją, przeraziły mnie piranie, które po chwili zamieniły się w łagodne ryby akwariowe. Zauroczyłam się śnieżnobiałą lilią, która w tej samej chwili stała się krwistoczerwoną różą. Wzdrygnęłam się, gdy bezpieczny podniebny lot przeistoczył się w podwodną podróż.

Nic tak jednak nie przestraszyło dziewczynki, jak nadchodzący świt, nagle przebudzenie, koniec nocnej kreatywności. Autorzy spektaklu pozostawili promyk nadziei, że to, o czym śnimy, nie znika tak po prostu i raz na zawsze. Nie rozpyływa się wraz z pierwszym promieniem słońca. Nasze nocne podróże wpływają często na prozę szarego życia. Czasem w ogrodzie pojawia się kwitnąca lilia, a czasem tkwi w nas lęk przed podrózami pociągiem przez ciemny las...

DOM LALKI

Tekst Adam Karol Drozdowski

Chciałoby się śnić takie sny, jakie przedstawił widzom ANIMO włoski teatr LaCapraBallerina. Nawet, jeśli to koszmary.

Takiego teatru lalek oczekuję. Bal – oczekuję takich doświadczeń od teatru w ogóle. Spektakl *Dorme* jest mądry i poetycki, ale klarowny, rozegrany w niespiesznym rytmie, w głębokim skupieniu. Nie idę do teatru, żeby się ubawić, pośmiać, ewentualnie wysłuchać eseju i poutyskiwać na zło świata. Idę po to, żeby poczuć. Pomyśleć. W *Dorme* dostałam tę możliwość. Scenografia jest oparta na konstrukcji domku dla lalek. Zwyczajna włoska kamienica, dachówki, chropowata faktura tynku, żaluzje, ścieżka oświetlona latarniami, bezlistne drzewo obwieszane choinkowymi lampkami, pada śnieg.

Przed pójściem do łóżka przed domem bawi się piłką dziecko.

Przedstawienie było podróżą przez jego sny. Marzenia sennie szybko zamieniły się w koszmary, jednak i one, w swojej onirycznej poetyce, były piękne i kuszące – to ten rodzaj niepokoju, który powoduje, że nie chcemy się budzić. Ryby o upiornych, ludzkich twarzach, ukryte pod śniegiem cmentarzysko zwierząt – maskotek, mroczna piwnica z tajemniczą szafą, podwodna scena opresyjnego tańca z wodorostową syreną. Zero konkretności, a jednak podążało się za kolejnymi wizjami z pełnym zaangażowaniem. I tylko jedna scena ujawniła realny powód strachów dziecka; to lęk przed przemi-

NIE PRZEGAP

Teatr dla najnowej

Dzisiaj mamy niespodziankę dla tych, którzy mają zaledwie dwa albo cztery lata. Już o 11.00 w Muzeum Zamkowym, a następnie o 12.30 na Czarnej Sali będzie można zobaczyć spektakle wpisujące się w coraz bardziej popularny w Polsce nurt sztuki dla maluchów, jak określa się przedstawienia przygotowane specjalnie z myślą o widzach, którzy czasami nie ukończyli jeszcze roku. Obecnie jest coraz więcej tego rodzaju propozycji w repertuarach stałych scen (ostatnio odbyła się premiera m.in. w Teatrze Dzieci Zagłębia im. Jana Dormana w Będzinie), jak także w programie nieformalnych grup teatralnych (np. Studia Teatralnego BLUM czy teatru ATOFRI z Poznania). Nic więc dziwnego, że nie mogło ich zabraknąć także w Kwidzynie.

W sobotę zaprezentują go dwie grupy teatralne: Teatr Poddańczy i LALE. TEATR. Pierwsza zaprosi dzieci na przygodę w krainie różnych smaków, *Smokulików*, gdzie pośród kuchennych zakamarków będzie można doświadczyć wszystkimi zmysłami teatralne magii, a druga w spektaklu *Ściana. Banana*, wciągnie nas w fantastyczne światy, w których po raz pierwszy dotkniemy teatru i weźmiemy udział w doskonałej zabawie dla całej rodziny.

janiem, czyli w efekcie – samotnością. Z pobojowiska maskotkowych ciał bohater spektaklu wydobyl jedno, które pochował w przysypanej popiołem izbie. Sam uklęknął, posypał popiołem głowę. Odwrócenie klepsydry nic nie dało: czasu nie da się zawrócić. Dobrze. że po przebudzeniu jego rzeczywisty towarzysz – kot – wciąż spał obok. Do nieuchronnego trzeba się jednak przyzwyczajać, a sny są tu nieocenioną pomocą. Melancholijny wyraz spektaklu kontrpunktowała niezwykła czułość i uwaga, z jaką Laura Bartolomei animowała swoją postacią. Jej opieka nad zrosniętą z jej dłonią lalką dawała pośrednio i widzom poczucie bezpieczeństwa, matczynej obecności.

Chciałoby się śnić takie sny.

